

WARSZAWSKI NIEBOTYK

A detailed illustration of a classic Warsaw street in autumn. A red tram with large windows is the central focus, moving along tracks on a cobblestone street. To the right, ornate multi-story buildings with balconies and flower boxes line the street. People are seen sitting at outdoor cafe tables with red tablecloths and yellow awnings. On the left, more cafe seating is visible under the shade of trees with bright orange and yellow leaves. In the background, a large building with a green dome is visible through the trees. The overall atmosphere is warm and nostalgic.

MARIA PASZYŃSKA

FILIA

MARIA PASZYŃSKA

**WARSZAWSKI
NIEBOTYK**

FILIA

Słowem wstępu

Wydany we wrześniu 2015 roku nakładem wydawnictwa Czwarta Strona *Warszawski niebotyk* był moim debiutem. Pierwszy raz pokazałam swoją twórczość szerszemu gronu odbiorców. Był to wielki akt odwagi i początek jednej z najpiękniejszych przygód mojego życia, która szczęśliwie trwa do dziś.

Moja debiutancka powieść została doceniona zarówno przez Czytelników, jak i recenzentów. Znalazła się nawet w finale I edycji konkursu Promotorzy Debiutów organizowanego przez Instytut Książki i Fundację Tygodnika Powszechnego. Czy można pragnąć czegoś więcej?

Moja Redaktorka zwykła mawiać, że lepsze jest wrogiem dobrego, i przeważnie przyznają jej rację. Jako osoba o naturze ciężającej ku perfekcjonizmowi, bez tego głosu zdrowego rozsądku prawdopodobnie do końca moich dni poprawiałabym jedną i tę samą książkę, bo przecież zawsze można jeszcze ciut lepiej...

Mimo to, gdy zaproponowano mi wznowienie *Warszawskiego niebotyku*, postanowiłam wprowadzić w tej powieści parę zmian.

Przez ostatnią dekadę napisałam blisko trzydzieści książek i bardzo wiele się nauczyłam.

Miałam poczucie, że historia braci Zasławskich i ich przyjaciół, która jest mi wyjątkowo bliska, zasługuje na odrobinę tej zdobytej wiedzy.

Nie każdy dostaje szansę skorygowania niedociągnięć czy błędów popełnionych w młodości.

Mnie taką szansę dano i musiałam, po prostu musiałam z niej skorzystać.

Dobrej lektury!

Warszawa, 10 grudnia 2024

Piotrowi...

Jestem głęboko przekonany, że chociaż inny jest teraz świat i inni ludzie, urok dawnych czasów przemówi do nowych pokoleń i że zawsze kochana Warszawa stanie się wszystkim jeszcze droższa.

W. Herbaczyński

Rozdział 1

Pan Antoni Starczewski zamknął ciężkie drzwi mieszkania; starał się zachowywać jak najciszej, żeby nie obudzić domowników. Zszedł ostrożnie po drewnianych schodach na parter i wyszedł na pograżoną we śnie ulicę Moniuszki. Był wilgotny i mglisty poranek. Jedynie dogasające już latarnie łukowe rozświetlały nieco szarugę przedświt. Błade światło latarni odbijało się w błyszczącej od mżawki asfaltowej nawierzchni. Rozłożywszy parasol, pan Antoni ruszył w stronę ulicy Marszałkowskiej, skąd dobiegał już turkot pierwszego odjeżdżającego tego dnia tramwaju elektrycznego. Siąpiła mżawka, wiał przenikający, chłodny wiatr, a buty pana Antoniego raz po raz rozchlapwały na boki wodę z małych zagłębień chodnika, które deszcz systematycznie napełniał na nowo, kropla po kropli.

Na rogu Moniuszki i Marszałkowskiej zatrzymał się na chwilę. Kamienica przy Marszałkowskiej 124, zbudowana dla petersburskiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Rosija”, była jego zdaniem najpiękniejszym budynkiem Warszawy. Jako mały chłopiec w drodze do szkoły przychodził tu z dziadkiem, żeby sprawdzić, jak posuwają się prace nad budową tego niezwykle nowoczesnego na owe czasy budynku.

Obserwowali, jak z tygodnia na tydzień stalowo-betonowe monstrum przeobraża się w subtelny, elegancki, bogato zdobiony budynek. Ponad kamienicą górowała pięciometrowa rzeźba kobiety – alegorii elektryczności – która miała podkreślać jej nowoczesny charakter. W niedługim czasie dolne lokale zajęły salony modowe, luksusowe butiki, sklepiki kolonialne, kawiarnie oraz jeden z najsłynniejszych sklepów obuwniczych w stolicy. Na pierwszym piętrze ulokowano liczne biura, a wyższe kondygnacje przeznaczono na ekskluzywne pięcio- i siedmiopokojowe mieszkania z osobnymi sypialniami dla służby, centralnym ogrzewaniem, oświetleniem elektrycznym, windą, a nawet bieżącą, ciepłą wodą. Patrząc na bogatych mieszczan, głównie ważnych urzędników carskich, wprowadzających się do tej wspaniałej kamienicy, Antoni nie podejrzewał nawet, że wśród nich on, chłopak z rzemieślniczej rodziny, znajdzie miłość swojego życia. Teraz, po ponad trzydziestu czterech latach od ukończenia budowy, stał w porannym deszczu, wpatrując się w ciemne o tej porze dnia okna narożnego mieszkania na drugim piętrze. Przynależny do lokalu balkon z donicami ciemnopomarańczowych nagietków nieśmiało wychylał się pomiędzy lekkich kolumn. Nagietki były ukochanymi kwiatami jego żony – Hanny.

Pierwszy raz zobaczył ją, gdy jako czeladnik cukierniczy odbywał praktyki u Semadeniego. Owego pamiętnego dnia został wysłany, aby na Marszałkowską 124 dostarczyć sporych rozmiarów tort śmietanowy, ozdobiony marcepanowym bzem i piramidą z karmelu przedstawiającą dwa serca. To arcydzieło zostało przygotowane na dwudziestą rocznicę ślubu rosyjskiego urzędnika Michaiła Sugarowa i jego polskiej żony – Marii,

słynącej z niezwyklej urody. Cukiernia Semadeniego mieściła się na Krakowskim Przedmieściu 385, nieopodal kościoła karmelitów. Pan Antoni musiał więc owo kunsztowne dzieło sztuki cukierniczej przenieść na specjalnej paterze przez spory kawałek miasta.

Był już bardzo blisko celu, gdy lekko się potknął i łapiąc równowagę, ukruszył delikatną piramidę. Przeżony, natychmiast wszedł do pobliskiej bramy, ustawił tort na stopniu i wyjął z kieszeni zapalki. Każdy posłaniec Semadeniego zawsze miał je przy sobie, aby móc w razie potrzeby naprawić zwieńczenie tortu. Skupiony na misternej robocie, jaką było klejenie kruchej dekoracji w tak niekomfortowych warunkach, nie dostrzegł jasnowłosej dziewczyny, która przyglądała mu się z uwagą i uśmiechem.

– To chyba zła wróżba dla pana na przyszłość – powiedziała, gdy skończył.

Dźwięk jej głosu wyrwał pana Antoniego ze skupionego zamyślenia i śmiertelnie przeraził. Serce waliło mu jak oszalałe, a w ustach odczuwał dziwną suchość. Był pewien, że ktoś z przechodniów podejrzwał jego cukiernicze akrobacje w bramie, dostrzegł emblemat cukierni na pudełku i postanowił go poinformować, że doniesie o wszystkim Semadeniemu, co niewątpliwie oznaczałoby koniec marzeń młodego mężczyzny o karierze cukiernika.

Kiedy pierwszy szok minął, pan Antoni podniósł wzrok i ujrzał dziewczynę stojącą tyłem do światła. Była zachwycająca. Wysoka, szczupła, z włosami w kolorze słomy, których pojedyncze nitki błyszcząły w słońcu. Wyglądała jak niezemskie zjawisko i tylko lekko kpiący ton wskazywał, że istnieje naprawdę, a nie jest jedynie wytworem jego wyobraźni.

– Tak pan skleja te serca po bramach – kontynuowała, wyraźnie ucieszona jego zmieszaniem. – Oby swojego nie musiał pan kleić.

Zaśmiała się perłście, odwróciła i wyszła z bramy. Wsłuchiwał się w cichnący z każdą sekundą stukot jej obcasów. Kiedy się oddalała, czuł zaciskającą się na sercu pętlę tęsknoty za jej śmiechem, który wciąż rozbrzmiewał mu w uszach. Pozwoliliby tej niezwyklej istocie naigrywać się z niego przez całe życie, byleby tylko mógł częściej słuchać jej śmiechu.

Ciszę wypełnioną rozkoszą wspomnień o złotowłosej paniencie przerwał rumor na podwórku, niedaleko miejsca, w którym siedział. Otrząsnął się z zamyślenia. Schował patereę do pudełka. Spocony z nerwów, rozgrzany od emocji, z ciężkim sercem nagle wypełnionym tęsknotą, poszedł dostarczyć zamówienie. Kilka minut później był już na drugim piętrze kamienicy przy Marszałkowskiej 124. Onieśmielony bogactwem wystroju i tym, że pierwszy raz znalazł się wewnątrz swojego ukochanego budynku, zastukał do drzwi opatrzonych złotą cyfrą pięć. Zza ciemnych, drewnianych, lśniących odrzwi dobiegały odgłosy krzątania. Przez chwilę nikt mu nie otwierał. Chciał zastukać kolejny raz, gdy nagle drzwi rozwarły się na oścież i stanęła w nich złotowłosa panienska z bramy.

– Ładna historia! – zaśmiała się w głos. – Zatem to dla nas pan tak pieczołowicie sklejał te serduszka!

Panu Antoniemu zrobiło się gorąco. Zaczerwienił się. Stał jak wryty, nie mogąc się poruszyć ze zdenerwowania. Patrzył tylko na piękną dziewczynę szeroko otwartymi oczami.

– Czemu pan tak stoi? Proszę wejść! – zarządziła wesoło, po czym dodała konspiracyjnym szeptem: – Spokojnie, nikomu nie powiem. To będzie nasz mały sekret.

Ten dzień zmienił na zawsze jego życie. Hanka Sugarowa, po półtora roku starań Hanka Starczewska, była jego pierwszą i jedyną miłością. Śmiała się, że na męża cukiernika skusiła się przez łakomstwo, a dokładniej przez zamiłowanie do babeczek orzechowych, które były specjalnością Antoniego. Poza wielkim uczuciem i prawdziwym szczęściem małżeńskim nic w życiu nie przychodziło im łatwo. Sugarow, nie mogąc się pogodzić z tym, że jego wykształcona córka postanowiła wyjść za nikomu nieznanego polskiego cukiernika na dorobku, zaraz po odzyskaniu niepodległości przez Polskę wyjechał do Petersburga. Choć Hance mówiono, że ojciec został wezwany na jakąś placówkę i jego wyjazd nie miał nic wspólnego z jej zamążpójściem, faktem było to, że nigdy nie wrócił. Regularnie przesyłał jednak środki na utrzymanie rodziny i listy pełne czułych słów.

Matka Hanki została w pięknej kamienicy z czwórką młodszych dzieci i gospodynią, a młodzi zamieszkali nieopodal, w domu rodzinnym pana Antoniego przy ulicy Moniuszki. Ich radosne wspólne życie, wypełnione ciężką pracą w nowo otwartej cukierni, skończyło się jednak zbyt szybko. Hanka zmarła nagle na gripę, zostawiając pana Antoniego samego z dwójką małych dzieci.

Po pewnym czasie krewni i znajomi zaczęli go namawiać, by ponownie się ożenił. Swatali go wszyscy: rodzina, przyjaciele, bliźsi i dalsi znajomi, a nawet stolarz, u którego nie tak dawno zamawiali z Hanką meble do cukierni. Długo nie mogli zrozumieć, że pan Antoni żonę już ma i jej śmierć niczego w tym aspekcie nie zmieniła. W końcu, widząc, że zdania nie zmieni, dali sobie spokój. Jego matka i siostry pomogły w wychowaniu Apolonii i kilka lat starszego Wojciecha, a pan

Antoni żył pogrążony w przeszłości, rozwijając jedną z najsłynniejszych warszawskich cukierni, „U Hanki”.

Nasilający się deszcz bezlitośnie uderzał w płatki małych ciemnopomarańczowych kwiatków. Obecnie z oddaniem sadziła je i pielęgnowała jego teściowa, jakby i ona wciąż nie mogła się pogodzić z przedwczesnym odejściem córki. Coraz większe krople spływające po twarzy wyrwały pana Antoniego z nostalgicznego zamyślenia. Westchnął ciężko i jak co rano spojrzął w niebo.

– Dzień dobry, kochana – powiedział cicho, posyłając żonie smutny uśmiech.

Szczelniej owinął się płaszczem i szybkim krokiem ruszył w głąb Marszałkowskiej, kierując się na południe. Mijał eleganckie kamienice mieszkalne, których dolne piętra wypełniały restauracje i sklepy. Na całej długości ulicy, aż do placu przy kościele Zbawiciela, posadzono niedawno małe drzewka, które w połączeniu z wdzięcznie wygiętymi latarniami, markizami przed restauracjami, hotelami i kawiarniami, białymi baldachimami osłaniającymi wystawy sklepowe nadawały Marszałkowskiej bardziej wysmakowany charakter.

Kiedy przechodził obok budynku dawnej fabryki tapet Spoerlin i Rahn, na skrzyżowaniu z ulicą Złotą, w którym obecnie mieścił się Metropol, przywitał się ze starszym portierem. Mężczyzna w każdy wtorek wychodził do domu po nocnej zmianie akurat wówczas, gdy pan Antoni szedł do cukierni. Wpadali na siebie z tak niesłychaną regularnością, że zgodnie twierdzili, iż zegarki należy nakręcać nie według rozkładu jazdy kolei wiedeńskiej, ale trybu życia warszawiaków, którzy widują wschód słońca na Marszałkowskiej.

Pan Antoni zatrzymał się na chwilę przy witrynie biura oferującego letnie podróże morskie. Ponad wejściem, po prawej stronie, na rogu budynku pysznił się dodany niedawno neon z dumnym napisem „Linia Gdynia–Ameryka”. Cukiernik nie podzielał zachwyty gawiedzi nad neonami. Uważał, że są krzykliwe i ujmują uroku Marszałkowskiej, a przede wszystkim odwracają uwagę od architektury jej wdzięcznych, choć pstrokatych kamienic.

Idąc dalej na południe, minął stojący na rogu Chmielnej dom z imponującym blaszonym hełmem imitującym wieżę. Uderzenia deszczu o metal wydawały taki dźwięk, jakby przez stolicę przechodziła właśnie wielka nawałnica, a nie tylko lekko padało. Minął Hotel Warszawsko–Wiedeński, a potem kamienicę Lothego, nad której dachem górowały potężne neony reklamowe piwa Żywiec; największy z nich kusił: „Pijcie piwo żywieckie”. Umieszczenie czegoś tak okropnego na budynku, który fasadą przypominał paryski Luwr, wydawało się mu zupełnie niezrozumiałe. Pan Antoni odruchowo przymykał oczy, przechodząc obok, jakby w akcie protestu wobec oszpecania stolicy. Czuł wyraźnie, że się starzeje, że przestaje pasować do tego świata, że nie rozumie jego estetyki.

W ostatnim czasie jego Warszawa tak szybko się zmieniła! Patrząc na coraz nowocześniejsze, choć według pana Antoniego nie zawsze ładniejsze, budynki, zwiększającą się liczbę samochodów i ludzi na ulicach, zaczynał czuć się zagubiony we własnym mieście. To niemiłe uczucie pogłębiło się jeszcze, gdy pan Antoni przeszedł przez skrzyżowanie z Alejami Jerozolimskimi. Ze smutkiem spojrzął na pozostałości niegdyś tak wspaniałego budynku dworca Kolei Warszawsko–Wiedeńskiej, projektu Henryka Marconiego, do niedawna

jedynego ruchliwego o tej porze dnia punktu na trasie jego spaceru. Przymknął oczy, wspominając, jak niegdyś nieustannie tętniło tu życie stolicy, przez co wielu mieszkańców nazywało to miejsce sercem Warszawy. Wprost roiło się tutaj od samochodów, dorożek obwieszonych reklamami, powozów i ryksz. Ludzie zdawali się iść we wszystkich kierunkach, jako masa przedstawiając zupełnie bezładny tłum. Panowie w eleganckich cylindrach mieszały się z biedakami w obdartych ubraniach, żydowskimi ortodoksami w czarnych kapeluszach i chałatach tej samej barwy, babami sprzedającymi podróznym kwas chlebowy na drogę, młodymi kobietami z dziećmi i warszawskimi cwaniakami z chusteczkami na szyjach i czapkami nasuniętymi głęboko na oczy. Ten przydworcowy gwar z jednej strony fascynował pana Antoniego, z drugiej przerażał, jak każdy niekontrolowany żywioł, mimo to wolał ów żywioł od wielkiego placu budowy rozciągającego się przed jego oczyma. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, jakby rozbiórka legendarnego dworca wyrwała jego miastu kawałek serca.

Wszystko marność, pomyślał z nostalgią.

Minął okolice dworca i ruszył dalej zwaśnym krokiem, jakby chciał czym prędzej uwolnić się od smutnych rozważań. Przeszedł obok kamienicy „Pod Husarzem”, następnie obok bliźniaczych budynków należących do rodziny Taubenhauśów, zbyt modernistycznych i na domiar złego obłożonych żółtą licówką. Przy kamienicy Fruzińskiego przystanął na moment, żeby obejrzeć nowości na wystawie jednego ze swoich głównych konkurentów. Na parterze budynku mieściła się ekskluzywna cukiernia, nazywana przez wszystkich Salonem Fruzińskiego. Pan Antoni zawsze z lekkim pobłażaniem patrzył na przepych, z jakim była urządzona, ale nie mógł

odmówić Fruzińskiemu doskonałej czekolady, chałwy i kakao, produkowanych w fabryce na Chocimskiej 5. Do wypieków na specjalne okazje i dla wyjątkowych gości używał wyłącznie wyrobów Fruzińskiego, choć za nim samym nie przepadał.

Na wystawie pyszniły się obecnie stopy czekolad, ułożone tak, aby przechodnie mogli podziwiać opakowania wykonane przez znanych warszawskich artystów. Podobno kilka z leżących na obecnej wystawie zaprojektowała sama Zofia Stryjeńska, jednak w bladym świetle budzącego się jesiennego dnia mężczyzna nie zdołał dojrzeć, które opakowanie zostało przygotowane przez tę wielką artystkę. Zerknął na swoje odbicie w szybie wystawowej, poprawił nieznacznie kapelusz i ruszył dalej, a tuż za kamienicą skręcił w Wilczą.

Deszcz rozpadał się na dobre akurat w chwili, gdy pan Antoni doszedł wreszcie do narożnej kamienicy numer 78, wybudowanej w miejscu, gdzie Wilcza łączy się z Koszykową. Był to całkiem nowy budynek, do niedawna należący do rodziny Morozowów. Dzięki pozostałym po mężu koneksjom matka Hanki – pani Maria – doskonale знаła Annę Michajłównę Morozow, żonę właściciela kamienicy. Obie panie miały zwyczaj co czwartek przychodzić na obiad do restauracji Hotelu Europejskiego, w którym tego dnia od lat odbywały się spotkania dawnych oficjeli carskich pozostałych w Warszawie. Po obiedzie panowie udawali się do sali bilardowej na koniak, cygaro i rozmowy o polityce, a panie przechodziły do drugiego skrzydła hotelu, u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Czystej, w którym mieściła się cukiernia Lourse'a. Cafe nowoczesne wewnątrz tego eleganckiego lokalu wypełnione było zapachem świeżo palonej kawy, uchodzącej za najlepszą w Warszawie.

EPICKA, NIEZWYKLE PORUSZAJĄCA OPOWIEŚĆ
O LOSACH PIĘCIU MŁODYCH MĘŻCZYŹN, KTÓRZY
PRZYJAŹNIĄ SIĘ, UCZĄ, PRACUJĄ I KOCHAJĄ Z PASJĄ,
Z WŁAŚCIWYM LUDZIOM MŁODYM POCZUCIEM
WSZECHMOCY I NIEŚMIERTELNOŚCI.

Spotykamy ich późną jesienią 1933 roku, w przededniu
rozejścia się ich życiowych dróg. W chwili, gdy świat stoi przed
nimi otworem, gdy są przekonani, że mogą osiągnąć wszystko,
czego zapragną, a miłość postrzegają jako piękną przygodę,
ślepi na zagrożenia. W kolejnych miesiącach życie weryfikuje
ich sposób myślenia, prowadząc ku nieuniknionej dojrzałości,
na którą nie zawsze chcą się zgodzić.

Romantyczne wzloty, bolesne upadki, tragedie burzące świat,
rozstania i powroty, a wszystko to na tle Warszawy
połowy lat trzydziestych, uwodzącej swym ogromnym
wdziękiem i urokiem.

wydawnictwofilii.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8357-981-8



9 788383 579818